

Bolesław Leśmian

Dzień Skrzydlaty

Rozwidniły się w słońcu dwie otchłanie - dwa światy
Myśmy byli - w obydwu...A dzień nastał skrzydlaty.

Nikt nie umarł w dniu owym - nie zataił się w cieniu...
I pamiętam, że myślał o najdalszym strumieniu

Nie mówiłaś nic do mnie, lecz odgadłem twe słowa.
A on - zjawił się nagle... Zaszumiała dąbrowa.

Taki - drobny i nikły... I miał - ciernie na skroni.
I ukłękliśmy razem - w pierwszej z brzegu ustroni.

W pierwszej z brzegu ustroni - w pierwszej kwiatów powodzi.
I zdziwiło nas bardzo, że tak biednie przychodzi.

Ubożeliśmy chętnie - my i nasze zdziwienie...
A on - patrzył i patrzył... Cudaczniało istnienie...

Zrozumieliśmy wszystko! - I że właśnie tak trzeba!
I że można - bez szczęścia... I że można - bez nieba...

Tylko drobnieć i maleć od nadmiaru kochania.
A to była - odpowiedź, i nie było - pytania.

I już odtąd na zawsze przemilczeliśmy siebie.
A świat znów stał się - światem...i czas płynął po niebie.

I chwyciłaś źdźbło czasu, by potrzymać je - w dłoni,
A on - patrzył i patrzył... I miał - ciernie na skroni.

Nocą umówioną

Nocą umówioną, nocą ociemniała
Przyszło do mnie ciszką to przychętne ciało.
Przyszło potajemnie - w cudnej bezżałobie -
Było mu na imię tak samo, jak tobie...

Zajrzało po drodze w przyszłość i zwierciadło -
Na pościeli zimnej obok się pokładło -
Dla mnie się pokładło, bym je mógł całować
I znużyć - i zużyć - i nie pożałować !

Lgnęło mi do piersi - ofiarnie pachnące,
Domyślnie bezwstydne i - posłuszniejące...
W ciemnościach - w radościach - na granicy łkania
Mdlało od nadmiaru niedoumierania.

I nic w nim nie było, prócz czaru i grzechu,
Prócz bezwiednej woni - wiednego pośpiechu -
I prócz tego dreszczu, co ginie w krwi szumie -
I bez niego ciało - ciała nie rozumie.

* * *

W malinowym chruśniaku, przed ciekawych
wzrokiem
Zapodziani po głowy, przez długie godziny
Zrywaliśmy przybyłe tej nocy maliny.
Palce miałaś na oślep skrwawione ich
sokiem.

Bąk złośnik huczał basem, jakby straszyl
kwiaty,
Rdzawe guzy na słońcu wygrzewał liść chory,
Złachmaniałych pajęczyn skrzyły się wisiory,
I szedł tyłem na grzbiecie jakiś żuk kosmaty.

Dusžno było od malin, któreś, szepcząc,
rwała,
A szept nasz tylko wówczas nacichał w ich
woni,
Gdym wargami wygarniał z podanej mi dłoni
Owoce, przepojone wonią twego ciała.

I stały się maliny narzędziem pieśczoły
Tej pierwszej, tej zdziwionej, która w całym
niebie
Nie zna innych upojeń, oprócz samej siebie,
I chce się wciąż powtarzać dla własnej
dziwoty.

I nie wiem, jak się stało, w którym oka
mgnienu,
Żeś dotknęła mi wargą spoconego czoła,
Porwałem twoje dłonie - oddałaś w
skupieniu,
A chruśniak malinowy trwał wciąż dookoła.

Po ciemku

Wiedzą ciała, do kogo należą,
Gdy po ciemku obok siebie leżą!

Warga - wardze, a dłoń dłoni sprzyja -
Noc nad nimi niechętnie przemija.

Świat się trwali, ale tak niepewnie!...
Drzewa szumią, ale pozadrzewnie!...

A nad borem, nad dalekim borem
Bóg porusza wichrem i przestworem.

I powiada wicher do przestworu:
"Już nie wrócę tej nocy do boru!" -

Bór się mroczy, a gwiazdy weń świecą,
A nad morzem białe mewy lecą.

Jedna mówi: "Widziałam gwiazd losy!"
Druga mówi: "Widziałam niebiosy!" -

A trzecia milczy, bo widziała
Dwa po ciemku pałające ciała...

Mrok, co wsnuł się w ich ściśliwe
sploty,
Nic nie znalazł w ciałach, prócz
pieśczoły!

* * *

Gdybym spotkał ciebie znowu
pierwszy raz,
Ale w innym sadzie, w innym lesie -
Może by inaczej zaszumiał nam las
Wydłużony mgłami na bezkresie....

Może innych kwiatów wśród zieleni
bruzd
Jęłyby się dłonie dreszczem czynne -
Może by upadły z niedomyślnych ust
Jakieś inne słowa - jakieś inne...

Może by i słońce zniewoliło nas
Do spłynięcia duchem w róż
kaskadzie,
Gdybym spotkał ciebie znowu
pierwszy raz,
Ale w innym lesie, w innym sadzie...

* * *

Hasło nasze ma dla nas swe dzieje tajemne:
Lampa, gdy noc już zdaży świat mrokiem
owionąć,
Winna zgasnąć w tej szybie, a w tamtej
zapłonąć.
Na znak ten oddech tracę. Już schody są
ciemne.

Czekasz z dłonią na klamce i, gdy drzwi
otwiera,
Tulę tę dłoń, co jeszcze ma chłód klamki w
sobie,
A ty w zamian przyciskasz moje ręce obie
Do serca, które zawsze u drzwi obumiera.

Wchodzę ciszką, jak gdyby krok każdy
knuł zbrodnię,
Między sprzęty, co dla mnie są sprzętami
czarów.
Sama ścieszysz swe łóżko według swych
zamiarów,
By szczęściu i pieczętom było w nim
wygodnie.

I zazwyczaj dopóty milczymy oboje,
Dopóki nie dopełnisz podjętego trudu.
Ile w dłoniach twych pieczy, miłości i cudu !
Kocham je, kocham za to, że piękne, że
twoje.

* * *

Z dłońmi tak splecionymi, jakbyś klęcząc,
 spała,
W niedostępne mym oczom wpatrzona
 widzenie,
Płaczesz przez sen i wstrząsem wylękliego
 ciała
 Błagasz o nagłą pomoc, o rychłe
 zbawienie.

Jeszcze płaczu niesytą do piersi cię tulę,
A ty goisz się we mnie, niby lgnąca rana,
A ja płacz twój całuję, biodra i kolana
I ramię i zsuniętą z ramienia koszulę.

Lecz karmiony ust twoich splakany
 oddechem,
Nie pytam o treść widzeń. Dopiero z
 porania
Zadaję ciemną nocą tłumione pytania.
Odpowiadasz bezładnie - ja słucham z
 uśmiechem

* * *

Taka cisza w ogrodzie, że się jej nie oprze
Żaden szelest, co chętnie taje w niej i
ginie.
Czerwieniata wiewiórka skacze po
sośninie,
Żółty motyl się chwieje na złotawym
koprze.

Z własnej woli, ze śpiewnym u celu
łoskotem
Z jabłoni na murawę spada jabłko białe,
Łamiąc w drodze kolejno gałęzie
spróchniałe,
Co w ślad za nim - spóźnione - opadają
potem.

Chwytasz owoc, zanurzasz w nim zęby na
zwiady
I podajesz mym ustom z miłosnym
pośpiechem,
A ja gryzę i chłonę twoich zębów ślady,
Zębów, które niezwłocznie odsłaniasz ze
śmiechem

Dusiołek

Szedł po świecie Bajdała,
Co go wiosna zagrzała -
Oprócz siebie - wiódł szkapę, oprócz
szkapy - wołu,
Tyleż tędy, co wszędy, szedł z nimi
pospołu.

Zachciało się Bajdale,
Przespać upał w upale,
Wypatrzył zezem ściółkę ze mchu popod
lasem,
Czy dogodna dla karku - spróbował
obcasem.

Poległ cielska tobołem
Między szkapą a wołem,
Skrzywił gębę na bakier i jęzorem
mlasnął
I ziewnął wniebogłosy i splunął i zasnął.

Nie wiadomo dziś wcale,
Co się śniło Bajdale?
Lecz wiadomo, że szpecąc przystojność
przestworza,
Wylazł z rowu Dusiołek, jak półbabeł z
łoża.

Pysk miał z żabia ślimaczy -
(Że też taki żyć raczy!) -
A zad tyli, co kwoka, kiedy znosi jajo.
Milcz gębo nieposłuszna, bo dziewczki
wyłają!

Ogon miał ci z rzemyka,
Podogonie zaś z łyka.
Siadł Bajdale na piersi, jak ten kruk na
snopie -
Póty dusił i dusił, aż coś warkło w chłopie!

Warkło, trzasło, spotniało!
Coć się stało, Bajdało?
Dmucha w wąsy ze zgrozy, jękiem złemu
przeciży -
Słuchajta, wszystkie wierzby, jak chłop
przez sen beczy!

Sterał we śnie Bajdała
Pół duszy i pół ciała,
Lecz po prawdzie niedługo ze zmorą
marudził -
Wyparskał ją nozdrzami, zmarszczył się i
zbudził.

Rzekł Bajdała do szkapy:
Czemu zwieszasz swe chrapy?
Trzebać było kopytem Dusiołka przetrącić,
Zanim zdażył mój spokój w całym polu
zmaćić!

Rzekł Bajdała do wołu:
Czemuś skapił mozołu?
Trzebać było rogami Dusiołka postronić,
Gdy chciał na mnie swej duszy paskudę
wyłonić!

Rzekł Bajdała do Boga:
O, rety - olaboga!
Nie dość ci, żeś potworzył mnie, szkapę i
wołka,
Jeszcześ musiał takiego zmajstrować
Dusiołka?

Panna Anna

Krakowianka jedna
Miała chłopca z drewna.

Kiedy wieczór gaśnie
I ustaje dzienny znój-
Panna Anna właśnie
Najwabniejszy wdziewa strój.

Palce nurza smukłe
W czarnoksiężskiej skrzyni mrok,
I wyciąga kukłę,
Co ma w nic utkwiony wzrok.

To-jej kochan z drewna,
Zły, bezmyślny, martwy głuch!
Moc zaklęcia śpiewna
Wprawia go w istnienia ruch.

On nic nie rozumie,
Lecz za niego działa-czar...
Panna Anna umie
Kusić wieczność, trwonić żar...

W dzień od niego stroni,
Nocą-wielbi sztywny kark,
Nieugiętość dłoni,
Natarczywość martwych warg.

Bóg zapomniał w niebie,
Ze samotna ginę w śnie!
Kogóż mam, prócz ciebie?
Pleść, bo musisz pieścić mnie!

Pieści ją bezdusznie,
Pieści właśnie tak a tak-
A ona posłusznie
Całym snem omdlewa wznak.

Śmieszny i niezgrabny,
Swą drewnianą tężąc dłoń,
Szarpie włos jedwabny,
Miażdży piersi, krwawi skroń.

Błada poraniona
Panna Anna bóloom wbrew
Od rozkoszy kona,
Błogosławiąc mgłę i krew!

Poprzez nocną ciszę
Idzie cudny, złoty strach...
A śmierć się kołysze
Cała w rosach, cała w snach.

Potem nic nie słyhać,
Jakby ktoś na dany znak
Nie chciał już oddychać-
Byle istnieć tak a tak...

A gdy świt się czyni-
Panna Anna dwójgiem rąk
Znów zataja w skrzyni
Drewnianego sprawcę mąk.

Sztuczne wpina róże
W czarny, ciężki, wonny szal-
I po klawiaturze
Błędząc dłonią-patrzy w dal...

Dźwięki płyną zdradnie,
Płyną właśnie tak a tak...
Chyba nikt nie zgadnie-
Z kim spędziła noc i jak?

We śnie

Dziwożona

Co sto lat tu złata ptaszek,
Złoty ptaszek, Gregoraszek,
Puka w dąb: niech w dębu szparze
Dziwożona się pokaże!

Stuk, puk! z dziupli wypłoszona
W świat wybiega Dziwożona,
O, już tańczy zwijanego,
Gonionego, wyrwanego.

Leśnej bajce dając wątek,
Pośród modrych tańczy łątek,
Gra jej ciepła trzcina muzyka,
O, ucieka już, już znika.

Pobiegijmy za nią w ślady,
Na wywiady, na wybady,
Zanim dąb się zamknie za nią,
Za tańczącą Złotopanią!

Bo ptak złoty lubi zwlekać,
Więc sto lat będziemy czekać,
Aż drzwi dębu otworzone
Znów pokażą Dziwożoną.

Śniesz mi się obco. Dal bez tła,
Wieczność się w chmurach błyska.
Lecimy razem. Mgła i mgła!
Bóg, ciemność i urwiska.

Do mgły i mroku naglisz mnie
I szepcesz, zgrzana lotem:
"Toć ja się tobie tylko śnię!
Nie zapominaj o tem..."

Nie zapominam. Mknijemy wzwyż
Do niewiadomej mety.
O, jak ty trudno mi się śniesz!
O, jawo moja, gdzie ty?

Wiedza

Byłem przed chwilą w bezkresie!
Blask się potykał z mym ciałem...
To ja tak złocę się w lesie...
Wiedziałem o czymś, wiedziałem!

Lecz motyl mignął szkarłatnie
Pomiędzy mną a modrzewiem...
Sny moje, sny przedostatnie!...
Już znikły! Znowu nic nie wiem...

Pobiegnę w chabry nieznane,
W kąkolu całą dal zmieszczę!
I umrę i zmartwychwstanę -
I będę wiedział raz jeszcze!...

Dwoje ludzieńków

Gdy śródlistne trzepoty gilów i jemiołuch
Zmacą ciszy cmentarnej ustrój niezawisły-
Cień z trudem z zaniedbanej wychodzi
mogiły,
Cały w rdzach i liszajach-podziemny
kocmołuch.

Słońce, grzejąc zmarłego, roztrwania po
trawie
Złote krzty-złote supły i złote podłużki,
A on zmysłem nicości wyczuwa jaskrawie,
Jak śmierć w słońcu-w kształt nikłej maleje
śmiertuszki...

Niezbyt pewny swej jawy i ufny snom
niezbyt-
Spogląda oczodołów próżnicą wierutną
W obłoków napuszyć wybująły Bezbyt,
Poza którym nic nie ma, prócz tego, że
smutno...

Lecz on smutek w pośmiertnej przekroczył
podróży,
Pierś wzbogacił weselem nowego żywota,
A gdy mu nieśmiertelność zbyt modro się
dłuży-
Tka snowi wieczystemu wezglowie ze
złota!...

Zazdroszczę mu bo duszę do trosk ma
niezdolną,
Nie wie, co to jest-nędza i żal i pustkowie,
Poznał przepych tajemnic! Niech wszystko
opowie,
Bo już czas! Bo już dłużej przemilczeć nie
wolno!

Lecz w chwili, gdy chcę zwiewne zadać mu
pytania,
O słonecznych utrudach, o gwiazdnych
mozołach,
Widzę nagle, jak blednąc męczeńsko się
słania
Ten zagrobowych ran pleśnią pokryty
biedołach!...

W gęstwinie-cieniścieje bezludzie i lśni tam
Zejście nieba na ziemię do drzew na
uboczu-
A ja patrzę w mrok jego spustoszałych oczu
I nie pytam już o nic...Już o nic nie pytam

Często w duszy mi dzwoni pieśń,
wyłkana w żalobie,
O tych dwojgu ludzieńkach, co kochali
się w sobie.

Lecz w ogrodzie szept pierwszy
miłosnego wyznania
Stał się dla nich przymusem do nagłego
rozstania.

Nie widzieli się długo z czyjejs woli i
winy,
A czas ciągle upływał - bezpowrotny,
jedyny.

A gdy zeszli się, dłonie wyciągając po
kwiecie,
Zachorzeli tak bardzo, jak nikt dotąd na
świecie!

Pod jaworem - dwa łóżka, pod jaworem
- dwa cienie,
Pod jaworem ostatnie, beznadziejne
spojrzenie.

I pomarli oboje bez pieśczozy, bez
grzechu,
Bez ły szczęścia na oczach, bez
jednego uśmiechu.

Ust ich czerwień zagasła w zimnym
śmierci fiolecie,
I pobledli tak bardzo, jak nikt dotąd na
świecie!

Chcieli jeszcze się kochać poza własną
mogiłą,
Ale miłość umarła, już miłości nie było.

I poklękli spóźnieni u niedoli swej
proga,
By się modlić o wszystko, lecz nie było
już Boga.

Więc sił resztą dotrwali aż do wiosny, do
lata,
By powrócić na ziemię - lecz nie było
już świata.

Wspomnienie

Wspomnienie

Te ścieżyny, których stopa dziecięca
Dotykałem...Co z nimi? Gdzie one?
Tak się kręca, jak lży się kręca,
Z oczu w nicość stracone!

Budziła mnie poranku wilgoć świeża,
A słońce malowało mi na ścianie
Złote psy - złote wybrzeża,
Złote skrzypce - złote otchłanie...

Kto dość zaklinająco spogląda
W światło, nawidocznione milczeniem,
Musi w końcu zobaczyć słonecznego
wielbłąda
I zbójcę słonecznego ze skrzącym
spojrzeniem...

Przy śniadaniu patrzyłem w stół jak w
pustynię,
Śniąc, że na wielbłądzie jadę...Zbójcą
jestem...
A ojciec, jakby wiedząc, że wielbłąd go
wyminie,
Czytał dziennik ze spokojem i
szelestem...

Karafka naświetlała haftem troistej
tęczy
Was ojca - i gzymsz szafy - i róg serwety
białej,
Osa w firankach pogmatwanie brzęczy,
Jakby same firanki nićmi w słońcu
brzęczały...

Podłoga zwierciadliła, lśniąć sennym
nabytkiem,
Palmy liść z jaśniejszym nieco spodem,
Ale tak, że mętniał w rozcieńczeniu
płytkiem,
Jakby zieleń ktoś rozlał mimochodem...

Fotel, trawiąc ciszę aksamitna,
Ocieżale wygodniał i płowiał...
Cukier igrał skrå błękitna,
Bochen chleba - różowiał...

Zegar wytrząsł ze sprężynowych zwojów
Dłużącą się nutę w głąb sali.
W umeblowanym półśnie słonecznych

Drzwi rozwarte na oścież były w naszym
domu,
dłoniom, co je rozwarły, zamknąć zabrakło
mocy ...
Szereg komnat na przestrzał widniał, jak po
nocy
mętne wspomnienie alej, nie znanych
nikomu.

Wszystko - w mroku - I tylko ów pokój
ostatni
z oknem w zaświat - na słońce, po pas wbite
w chmurę,
jarzył się - cały w blasków pełgających matni
-
i siał pyły słoneczne przez kotar purpurę.

Tam - w tych ścianach kosmatych od pręgów
i pasem,
wśród zacieków purpury i wyparów złota,
w słupach światel spylonych - ta nasza
pieszczota
rozwidniła się nagle, jak chmura nad
lasem ...

I gdy ją wylew słońca grzał skośnym
potokiem,
uczwała radość wstydu, co się wyzbył siebie,
aż się z pyłem słonecznym zmieszała, jak w
niebie
miesza się pół obłoku z drugim półobłokiem.

Dzisiaj, gdy już zamknięto drzwi naszego
domu,
a ja skarżę się we śnie złotowłosym cieniom,
czasem ku owym progom biegnę po kryjomu,
by rozewrzeć drzwi wszystkie na oścież
wspomnieniom!

I rozwieram - a sam się usuwam w kąć
ciemny,
by stamtąd widzieć światłość w ostatnim
pokoju
i z jego wiecznych purpur i wiecznego znoju
snuć dla reszty mych komnat wyrok
potajemny ...

Ściany, stropy i odrzewia, i skrętne zawiasy
wrdzawione w zmierzch, co lada iskrę
uwydatni,
czerpią połysk dla pleśni, brzask dla martwej

Wspomnienie

Lubię wspominać te dziecięce lata,
gdym zaniedbując całą resztę świata,
w znajome pole szedł razem z
pastuchem,
krów, co bezładnym swych racic
rozruchem
niską przed nami nieciły kurzawę,
ściągając na się wybiegły nad trawę
deszcz much zielonych i złotych, i
owych
samotnie skrzących,
ciemnopurpurowych,
co, dogadzając przemyślnemu skrzydłu,

wpadają nagle w samo ślepie bydła ,
zapatronemu w dal, jak w swą oborę.

Zawszem widywałem po drodze brzoź korę
w brunatne pręgi i te same cienie
lip na murawie i żółtych motyli
nagle w powietrzu skrzydeł rozdzielenie,

i nagły w trawę zlot, gdy do badyli
nóg się czepliwych przytwierdzają
schwytem -
i przykucnięte nad stawu błękitem
kaczki, co naszą zaoczywszy trzodę,
niezgrabnie, piersią zsuwały się w wodę
-
i tłumy wróbli, co z głuchym łoskotem
sfruwały z płotu, aby tuż pod płotem
w długi się szereg rozsypać na trawie.

Odjazd

Gdym odjeżdżał na zawsze znajomym
gościńcem,
Patrzyły na mnie bratków wielkie, złote oczy,
Podkute szafirowym dookoła sińcem.
Był klomb i rój motyli, i błękit przezroczy,
I rdzawienie się w słońcu dojrzałej rezedy.
A gdy byłem już w drodze, sam nie wiedząc
kiedy
I czemu - przypomniałem te oczy,
przyziemne
Śledzące mą zadumę i wpatrzone we mnie
Tym wszystkim, czym się można wpatrzeć w
świat i dalej.
Co widziały te oczy, nim w tysiącu alej
Zginałem, jedną chatę rzucając za sobą?
I czemu z szafirowa zawczasu żalobą
Patrzyły w ten mój odjazd poprzez zielen
rdzawą
Rezedy, co pachniała, przytłumiona trawa?
I dlaczego te oczy były coraz łzawsze?
Czy nie wolno nic nigdy porzucać na zawsze?
I zostawić samopas kędyś - na uboczu?
Czy nie wolno odjeżdżać znajomym
gościńcem
I oddalać się zbyt od tych złotych oczu,
Podkuty dookoła szafirowym sińcem?

Ballada bezludna

W polu

Dwoje nas w ciszy polnego zakątka.
Strumień na oślep ku słońcu się pali,
w liściu, co trafił na krzywy prąd fali,
wirując, płynie szafirowa łątka.

Nadbrzeżna trawa, zwisając, potrąca
o swe odbicie zsiwiałą kończyną,
do której ślimak, pęczniewiąc z gorąca,
przysklepił muszlę swym ciałem i śliną.

W przerzutnym płasie znikliwsza od
strzały
płotka się czasem zasrebrzy na
mgnienie.
Pod wodą - spojrzysz! - prześwieca piach
biały
i mchem ruchliwym brodate kamienie.

Czemu ci głowa na dłonie opadła?
To - pachnie trawa i ten piach pod wodą
-
to - wód, polśnione smugami,
zwierciadła
parują ciszą, blaskiem i ochłoda.

Tych kilku dębów ponad brzegiem
liście,
podziurawione i przeżarte chciwie
przez gąsienice, trwają tak przejrzyście
nad własnym cieniem, co utkwiał w
pokrzywie.

Z tej tu pokrzywy czar dębowych cieni
zgarnę ku piersiom, co na słońcu dyszą,
ustami dotknę bezmiernej zieleni,
stęsknionej do mnie swym sokiem i
ciszą.

Do kwiatów przywrę rozpalone czoło,
wsłucham się w bąki grające i brzmiki

Niedostępna ludzkim oczom, że nikt po niej
się nie błąka,
W swym bezpieczeńcu szmaragdowym
rozkwitała w bezmiar łąka,
Strumień skrzył się na zieleni nieustannie
zmienną łąką,
A goździki spoza trawy wykrapiały się
wiśniato.

Świerszcz, od rosy napęczniały, ciemnił pysk
nadmiarem śliny
I dmuchawiec kroplą mlecza błyskał w
zadrach swej łąciny,
A dech łąki wrzał od wrzawy, wrzał i żywcem
w słońce dyszał,
I nie było tu nikogo, kto by widział, kto by
słyszał.

Gdzież me piersi, Czerwcami gorące?
Czemuż nie ma ust moich na łące?
Rwać mi kwiaty rękami obiema!
Czemuż rąk mych tam na kwiatkach nie ma?

Zabóstwiło się cudacznie pod blekotem na
uboczu,
A to jakaś mgła dziewczęca chciała dostać
warg i oczu,
I czuć było, jak boleśnie chce się stworzyć,
chce się wcielić,
Raz warkoczem się zazłocić, raz piersiami się
zabielić -

I czuć było, jak się zмага zdyszanego męką
łona,
Aż na wieki sił jej zbrakło - i spoczęła
niezjawiona!
Jeno miejsce, gdzie być mogła, jeszcze trwało
i szumiało,
Próżne miejsce na tę duszę, wonne miejsce
na to ciało.

Gdzież me piersi, Czerwcami gorące?
Czemuż nie ma ust moich na łące?
Rwać mi kwiaty rękami obiema!
Czemuż rąk mych tam na kwiatkach nie ma?

Przywabione obcym szmerem, wszystkie
ziola i owady
Wrzawnie zbiegły się w to miejsce, niebawem
węsząc ślady,

